Od autora: STROICIEL CISZY. Ciekawa sprawa z tym tekstem – istnieje w dwóch wersjach, dłuższej (pierwotnie drukowanej w NF 4/2003) oraz krótszej, która weszła później do zbioru opowiadań z 2011 r. pod tym samym tytułem. Wersje różnią się zakończeniem, w pierwotnej jest bardziej rozbudowane, przybliża motywacje głównego bohatera podejmującego w finale taką, a nie inną (straszną w swych skutkach) decyzję; są też dodatkowe sceny ze spotkanym na stacji kosmicznej „Dzikusem"... Dzięki uprzejmości Katedry przypominam właśnie tę wersję (dłuższą o mniej więcej 20 procent). Można więc czytać i porównywać (gdyby się komuś chciało) – obserwując, jak zmieniał się autorski zamysł. (WS)

Wojciech Szyda

STROICIEL CISZY

> **Kenoza** (z greckiego – *ogołocenie*), termin teologiczny oznaczający samouniżenie się boskiego Logosu we wcieleniu, posłuszeństwo Jezusa Chrystusa jako Syna Bożego wobec Boga Ojca oraz dobrowolne przyjęcie przezeń cierpienia i śmierci. Wg protestanckiej teologii XIX w. – zawieszenie przez Jezusa jego Boskich atrybutów.
>
> (Wielka Internetowa Encyklopedia Multimedialna)

Ostatnia noc na Ziemi. Rozmyślania

W swoją ostatnią noc na Ziemi, przed wyruszeniem do portu transferowego, John Caspar nie mógł zasnąć. Stał na balkonie wieżowca, oparty o balustradę i starał się odzyskać spokój. Miasto rozlewało się u stóp budynku świetlistą plamą. Drżąca poświata przypominała chmurę robaczków świętojańskich albo fosforescencję śpiącego morza...

John był spakowany. Nastawił budzenie. Jutro opuszcza *Geopolis*, zostawia wyniszczoną i zurbanizowaną planetę. Tak będzie lepiej...

Czekały go lata odosobnienia. Uważał, że jest to cena, którą należy zapłacić, by być bliżej Boga.

Nie ujawnił swych pobudek w biurze werbunkowym. Nie było sensu. Galaktyczni misjonarze tylko formalnie nadzorowali linie konfesyjne. W praktyce przyjmowano każdego, bez względu na motywację. John zawarł pięcioletni kontrakt na oblatywacza konfesjolotu, kierując się przede wszystkim powołaniem. Wielu robiło tak jednak dla zarobku. Pomimo to Caspar wyobrażał sobie, że piloci tworzą zakon kosmicznych anachoretów – każdy w swej samotni, neurotytanowym eremie mknącym przez kosmos, niczym mnich w grocie. Już wkrótce...

Sen nie nadchodził. Prom odlatywał o piątej.

Przy łóżku stała walizka pełna starych książek i nowych tytułów do czytania w ciągu pięciu lat samotności. W pamięci nie mniej ciężki bagaż doświadczeń.

Caspar zwalczał podenerwowanie snuciem uporządkowanych rozważań. A gdy już zaczął – nie mógł przestać. Tak jak i tym razem.

Miasto kojarzyło mu się ze zgiełkiem, Bóg z ciszą. Nie rozumiał odwiecznego lamentu filozofów, przerażonych zaklętym milczeniem Boga. Nie podzielał rozpaczy intelektualistów, którzy pod koniec życia upodabniali się do przegranych buntowników, o których pisał Platon: *Żaden z tych, co w młodości powzięli sąd, że nie ma bogów, nie dochował na starość wiary swym przekonaniom*. Nie znaczy to, że uwierzyli w Boga. Po prostu zrozumieli, że negowanie jego istnienia jest również wiarą, a nie zdobywszy dowodu – cierpieli męki niepewności. *Największy ból sprawia ludziom wiedza połączona z bezsilnością* – pisał inny starożytny, Herodot. W przypadku wątpiących mędrców była to pochodna wiedzy, o której myślał Sokrates mówiąc: *„wiem, że nic nie wiem”*. Uśmierzyć te męki mógł tylko wyraźny komunikat, że Bóg istnieje, rozlegający się gromko z niebios głos Pana. John nie potrzebował takiego dowodu. Przeprowadził proste rozumowanie: skoro Opatrzność nad nami czuwa, a Bóg milczy, trzeba szukać Boga w ciszy. Zamiast czekać na słowa, należy zamienić się w Wielkie Ucho. Ciszy nie można usłyszeć, lecz można w niej przebywać – i tak samo jest z Bogiem. Człowiek winien być zatem stroicielem ciszy. Niełatwe to jednak zadanie. Świat, który stał się komorą pogłosową odbijającą niezliczone informacje – taki świat oddalał ludzi od Boga.

Najłatwiej zabić ciszę w mieście. Nawet noc nie daje jej azylu. Błogosławiona ciemność, o której pisali XVI-wieczni hiszpańscy mistycy staje się nieosiągalna w sztucznym świetle. Bombardowanie informacją zaśmieca mózg stosami zbędnych danych. Niewidoczne drgania i pola magnetyczne zakłócają wewnętrzny spokój, naruszają rytm biologiczny. Miasto nie chce świętości. Oferując wszystko, nie ofiarowuje niczego. John zanotował w dzienniku: *W świecie barw Bóg jest przeźroczystością, w świecie zapachów bezwonnością, w świecie dźwięków ciszą. Jest tym, czego nie można ujrzeć, tym czego nie można wyczuć, tym czego nie można usłyszeć. Dlatego tak wielkim darem jest wiara*. Teraz, patrząc z balkonu na rozmigotane miasto i krążące po orbicie reklamowe sputniki (przez lornetkę można było ujrzeć znaki firmowe koncernów), słysząc tysiące przytłumionych dźwięków (jakby miasto chrapało przez sen), Caspar dodał w myślach: *w świecie informacji Bóg jest jej brakiem.*

Zadzwonił *info-com*. Alert o miejscu i czasie odlotu. John odczepił urządzenie od paska i upuścił na balkonową posadzkę. Nie będzie więcej potrzebne...

Pora się kłaść...

Ostatni raz unosi głowę. Na bezchmurnym niebie nie widać gwiazd. Łuna miasta rozmywa planety i galaktyki, czyniąc firmament półprzeźroczystą plamą. *„Chcesz wiedzę posiąść - wprzódy cierp. Oto prawdy wiecznej sąd”* – nadpływają słowa Ajschylosa. Lecz po cóż cierpieć, skoro nie widać gwiazd?... Zrozumiał, co go gnębi. *Per aspera ad astra*, jego ulubiona maksyma, była w dzisiejszych czasach nieaktualna. Niczym zwykły produkt, którym wszystko stawało się w tym świecie – straciła datę ważności.

W blasku konsekrowanych słońc. Chrystologia

A teraz gwiazdy są wszędzie. Wszechświat jest pełen ciszy, nieskończonej próżni, w której umierają obrazy i dźwięki. Tu, gdzie nie ma świateł i barw, nie ma też fonemów. Gwiazdy są niedostępne dla wzroku, choć ich obecność zdaje się wręcz namacalna.

Otoczony ścianami konfesjolotu John Caspar ma wrażenie, że przebywa w pustce. Jest tysiące lat świetlnych od Ziemi. Czuje się jak ptak wewnątrz głuchego i ciemnego dzwonu, którego środek jest wszędzie, obwód zaś nigdzie – niczym kulisty Bóg-wszechświat w koncepcji Mikołaja z Kuzy. Ten ulubiony filozof i teolog Caspara głosił pochwałę intuicji jako jedynego sposobu komunikowania się z Bogiem. Wiedza ludzka jest z natury względna, skomplikowana i przybliżona, podczas gdy Prawda prosta, absolutna i jedyna. Tylko w Bogu zawiera się jedność przeciwieństw (*coincidentia oppositorum*), niedostępna dla rozumu i empirii, a pojmowalna intuicją. Kuzańczyk domagał się nawet odrzucenia arystotelesowskiej zasady sprzeczności, co bardzo przypadło Johnowi do gustu, gdyż nie ufał zbytnio logice.

„Stroiciel ciszy” leci ze stała prędkością w stronę Układu Carpentera. John ma na twarzy zarost nie usuwany metodą nano-opiłków „Bic”, gdyż pole grawitacyjne wewnątrz statku jest zbyt rozedrgane, co grozi poharataniem twarzy. Podcina brodę rzadko, nie przywiązując wagi do aparycji. W końcu oblatywacz może sobie pozwolić na niedbały wygląd. Jest to wręcz wymarzona praca dla abnegata.

John Caspar, od pięciu lat wędrujący przez układy planetarne z misją odpuszczania grzechów zna prawdziwe znaczenie słowa „abnegacja”. Wolny czas poświęca studiowaniu teologii. Abnegacja to akt przezwyciężenia egoizmu i próżności, wyrzeczenie się dóbr materialnych i wąsko pojętego szczęścia w imię wartości wyższych: niesienia pomocy ludziom, poznawania Prawdy, realizacji ewangelicznych ideałów. A przede wszystkim: zbliżenia się do Boga. Właściwie pojęta abnegacja dynamizuje życie wewnętrzne, sprzyja rozwojowi osobowości i wyższego „ja”. Ponieważ bywa często odrzuceniem tego, co

doczesne – w powszechnym odczuciu jest traktowana jako postawa negatywna, niemal synonim zaniedbania. John wychodzi z założenia, że jest kimś więcej niż pracownikiem technicznym. Uprawiając świadomą abnegację odczuwa coraz większą jedność ze statkiem. Nie przywiązuje wagi do pokarmu – co dwa dni wstrzykuje sobie odżywcze porosty bezpośrednio na ścianki żołądka. Nanotechnologia żywieniowa rozwiązała problem głodu, lecz nie problem smaku. To jednak mało ważne dla Johna – pilot winien być sługą konfesjolotu, pokornie znoszącym wyrzeczenia i samotność.

Podróże w kosmos przebiegają dwuetapowo. Na orbicie *Geopolis* znajduje się kilkanaście portów transferowych – stacjonarnych portali do miejsc oddalonych od Ziemi o lata świetlne. Promy kosmiczne dowożą pasażerów do portów i dopiero stamtąd odbywa się przerzut. Wykorzystuje się w tym celu tzw. efekt Jarmusch'a: zgodnie z rozwiniętą i ugruntowaną w nauce teorią strun czas posiada kilka wymiarów, podobnie jak przestrzeń. Każde ciało można określić poprzez odczytanie złożonych sieci układów współrzędnych, w jakich przebywa – jest to tzw. chronolokacja, opisanie jednoczesnego pozostawania obiektu w każdym aspekcie czasu i przestrzeni. Aby dokonać transferu, należy doprowadzić obiekt do punktu kulminacji skrajni – następuje sprowadzenie ciała do struktur subatomowych, co pozwala przerzucić skompresowany ładunek na olbrzymią odległość, wzdłuż osi przesunięcia, na symetryczny układ współrzędnych. Podobnie jest z czasem – kwantowany do odcinków osiągających wartości graniczne pozwala szybko ekspediować obiekt. Z grubsza działa tu efekt sprężyny – maksymalne ściśnięcie powoduje najsilniejszy wyrzut w najkrótszym czasie. Tym samym przedmiot lub organizm żywy może być katapultowany do odległych gwiazdozbiorów. Tak od blisko półwiecza dokonuje się kosmiczna ekspansja *homo sapiens...*

„John Caspar" na pokładzie „Stroiciela ciszy" niesie grzechy zebrane ponad planetą Eol w stronę jednego z konsekrowanych słońc. A wokół pusto. Cisza spowija niczym całun, wyłącza fonię. Krzyk przerażenia i uśmiech radości istnieją tylko w dopowiedzeniach. Gesty, które mówią, żywe kontury maszyn i postaci. Świat głuchego połączony z połowiczną ślepotą. Za neurotytanową konstrukcją ciemność i milczenie wszechświata. I chłód. Można przytulić się tylko do własnych myśli. Chyba, że są szkliste, ścięte mrozem zwątpienia. *Inside the vehicle the cold is extreme, smoke in my throat kicks me out of my dreams. I try to relax, but it's warmer outside, I fail to connect, it's a tragic divide*. Porcupine Tree „Signify" – stara płyta, słuchał jej kilkaset razy, prawie zawsze odnosząc te słowa do siebie. Konkretna sytaucja stawała się życiową metaforą. W jakimś sensie na zewnątrz rzeczywiście było cieplej.

„Stroiciel ciszy” wkracza do gwiazdozbioru Tarczy. Na obrzeżach konstelacji biały karzeł, w głębi czerwony olbrzym pożera kolejną planetę, która stanęła na jego drodze. John dostrzega to na ekranach pomiarowych. Jest jakby gęściej, pełna ukrytej energii pustka rozlewa się między skupiskami gwiazd niczym ciemna toń oceanu. Mimo to przestrzeń tętni płucami nieskończoności – ciała niebieskie zdają się nieistotnym nalotem na jej powierzchni.

Czy właśnie tu mieszka Bóg? W tej ciszy bezludnej i nieludzkiej? W ciemności będącej najdoskonalszym wyobrażeniem „nocy duszy”, o której pisał św. Jan od Krzyża? Teologia ciemności i teologia ciszy. *Domine, dirige nos!*

John Caspar odczuwa coś, czego przedsmak musiał towarzyszyć żeglarzom, zanim Ziemia stała się zurbanizowanym *Geopolis*. Sam na sam z żywiołem, ziarno piasku wobec ogromu Stworzenia. Choć wszystko wokół zbudowane z materii, obecność Boga wydaje się silniejsza. Nic dziwnego, że wśród astronautów wciąż notuje się mnóstwo nawróceń.

Gdyby kiedyś spotkał Chrystusa – gdzie, w jakiej przestrzeni poznania miałoby to nastąpić? John poważnie rozważa ten problem. W sferze duszy? W psychice? W materii? Wciąż czyta dzieła teologiczne i obsesyjnie przetrawia tę myśl...

Według wczesnochrześcijańskiej herezji zwanej doketyzmem Jezus nie miał ciała ludzkiego, lecz ciało eteryczne. Dzięki temu mógł uniknąć prawdziwego cierpienia. Jego męka i śmierć na krzyżu były pozorne. Doketyzm stanowił próbę odpowiedzi na pytanie, jak doskonały, niematerialny, a przede wszystkim nieśmiertelny Logos, owo Słowo z Ewangelii św. Jana, mógł zaistnieć i umrzeć w materialnym świecie. Pogląd ten wpłynął na rozwój pokrewnego kierunku – monofizytyzmu. Była to doktryna głosząca jedynie boską naturę Chrystusa. Syn Boży nie stał się człowiekiem – głosili potępieni i wygnani z Syrii jakobici – gdyż był Bogiem, a pomiędzy jednym a drugim zachodzi sprzeczność zupełna. Albo człowiek albo Bóg – *tertium non datur*. To jednak nie wyczerpywało sporu. Poglądy przeciwstawne głosiły, jakoby Chrystus posiadał wyłącznie naturę ludzką. Jednym z ciekawszych był adopcjanizm, zaprzeczający boskiej więzi pomiędzy Bogiem-Ojcem a Jezusem, który miał być jedynie przybranym synem Jahwe, adoptowanym człowiekiem w szczególny sposób napełnionym Duchem Świętym. Pogląd ten wyrastał z troski o czystość monoteizmu. Oficjalnym stanowiskiem Kościoła był natomiast sformułowany w roku 451 na IV Soborze Chalcedońskim dogmat chrystologiczny głoszący podwójną naturę Chrystusa: boską i ludzką. Jezus-Logos stał się człowiekiem i jest realną obecnością Boga w świecie, a przez Niego jako człowieka dokonane zostało dzieło odkupienia świata.

A więc kto powróci na świat podczas Paruzji? Ciało czy duch? Duch w ciele, czy może – według najnowszych trendów teologicznych – duch w maszynie? John miał od podobnych rozważań istny mętlik w głowie.

Do tego wszystkiego dochodziły kontrowersje wokół niejasnego pojęcia Trójcy Świętej. Zgodnie z oficjalnym nauczaniem Kościoła jest ona Trójcą Współistotną – każda z istot do niej wchodzących pozostaje całym Bogiem (homouzja). Ojciec jest tym, który rodzi, Syn tym, który jest zrodzony, zaś Duch Święty tym, który pochodzi – te relacje są odwieczne, poza czasem. Rozbieżności co do roli poszczególnych aspektów Trójcy prowadziły do licznych rozłamów i herezji, łącznie z wielką schizmą wschodnią w 1054 roku. Rola Chrystusa była opisywana różnie, w zależności od przyjętego punktu widzenia – raz był odrębnym Bogiem, to znowu tworem podporządkowanym Ojcu, to znów bytem współistotnym. Spory co do natury Odkupiciela trwały pomimo wypracowania przez Kościół jednolitego stanowiska: rozróżnienie pomiędzy Bogiem, Jego Synem a Duchem polegało nie na istocie, lecz na wzajemnych relacjach...

John ma duży szacunek do oficjalnej wykładni prawd wiary. Mimo to pozostałe teorie posiadają posmak atrakcyjności. Sprawiają, że Chrystus jest jeszcze większą tajemnicą. Czynią aktualnym pytanie: jaki jest Bóg? Można zastanawiać się nad zagadką Jego natury, oddalając moment wyboru: przyjąć go czy odrzucić. Pułapką naszych czasów jest niemożność rozpoznania Prawdy, kiedy już ją znajdziemy. Dlatego warto wpierw poznać jej istotę, by nie przeoczyć szansy...

„Stroiciel ciszy” podlatuje do gwiazdy oznaczonej symbolem XP 345,990 na odległość orbity najbliższej z planet. Nieforemne, niezamieszkałe orzechy okrążają gazowego olbrzyma niczym muszki owocowe spuchniętą żarówkę. Na powierzchni protuberancje widoczne jako oślepiające zawirowania, wokół gigantyczna czasza żaru trawiąca zabłąkane meteory. Konsekrowane słońce. Kula ognia wyniesiona do rangi świętości, wyposażona w moc odpuszczania grzechów. John zatrzymuje „Stroiciela”. Rozpoczyna procedurę.

Schemat działania jest prosty. Po modlitwie odczepia przylepiony do statku ładunek, nadając mu właściwy kierunek. Leci niczym odcięty wrzód na spotkanie słonecznej korony. Zawiera grzechy zebrane na odległych planetach, dokąd nie dotarli kapłani. Jedyne wyjście, by udzielać tym ludziom sakramentu spowiedzi. Robotnicy, farmerzy, poszukiwacze – zwożą swoje przewinienia na specjalne wysypiska, pakują w metalową gołębicę wyobrażającą Ducha Świętego i wysyłają na orbitę, aby zabrał ją nadlatujący konfesjolot. Z początku sprawa budziła kontrowersje, jednak poczucie powinności świadczenia posługi kapłańskiej przeważyło w Kościele nad wiernością wobec tradycyjnych form sakramentów. Papiescy

astrofizycy z pierwszego na świecie, założonego w 1579 roku obserwatorium[1], wyznaczyli kilkaset gwiazd, nieopodal najdalszych skupisk ziemskich kolonizatorów. Program został omówiony na pierwszym soborze dotyczącym ekspansji ludzkiej w kosmos. Papież osobiście konsekrował wybrane gwiazdy. Tym samym Watykan zatwierdził innowację, którą w mediach okrzyknięto „kosmicznym Barankiem Bożym". Wyświęcone słońca przyjmowały ładunki dowożone przez oblatywaczy konfesjolotów, aby spalić je ogniem rozgrzeszenia. Oczywiście wystarczyło, by „Tin-Sin" (*zapuszkowany grzech* – jak kpili niektórzy) dotarł do granic żaru, płonął w wyziewach gwiazdy zanim dotknął wierzchnich sfer słońca. Tak dokonywało się odpuszczenie.

Metalowy ładunek w kształcie Ducha Świętego oddala się od konfesjolotu niczym torpeda. John nie przestaje się modlić. W takich chwilach przeżywa sens swojego powołania. Jest bliski ekstazy. Chwila, gdy temperatura stapia metal, gdy płoną przewinienia, a Baranek Boży gładzi grzechy świata, tu w kosmosie – w zimnych ścianach statku, w śmiertelnej pustce, w przestrzeni wyjałowionej z życia – dokonuje się cud wiary. Kwitnie ciepło. Rozlewa się światło. Świat na chwilę usprawiedliwia swoje istnienie.

W wizjerze obraz małego punkciku, który nagle wybucha w koronie słonecznej. Usta Johna szepczą bezwiednie:

- Idź i nie grzesz więcej...

A na planecie Eol kilka sekund jasności, czystość serc.

Poszukiwanie stacji. Sen

Procedura pozwalała Casparowi na korzystanie z gościnności napotykanych po drodze habitatów. Watykan wynegocjował dla misjonarzy oraz oblatywaczy konfesjolotów układ, na mocy którego każda podlegająca Rządowi Światowemu stacja kosmiczna miała obowiązek udzielić schronienia „kosmicznym apostołom wiary". Pilot musiał podać autoryzację – gdy zgadzała się z widniejącą w rejestrze legalnych statków, wpuszczano go na pokład.

Po wykonaniu zadania na planecie Eol John szukał takich punktów w Gwiazdozbiorze Tarczy. Były to rejony, do których nie dotarli jeszcze misjonarze. Kolonizacja przebiegała dość opornie, przypominała początki zasiedlania Alaski przez białych osadników. Grupy mężczyzn i kobiet walczyły z żywiołami, każdego dnia dziękując Panu za przeżycie, być może dlatego ich wiara była tak silna. Jak trwoga, to do Boga... W każdym razie pierwsi

[1] Chodzi o papieskie obserwatorium astronomiczne w Castelgadnolfo, nad jeziorem Albano. Znajduje się tam napis z brązu z frapującą sentencją: *Deum Creatorem venite adoremus* („Przyjdźcie, uwielbiajmy Boga Stwórcę") – przyp. WS.

misjonarze mieli się dopiero pojawić na Eolu i podobnych planetach, tu w Układzie Carpentera, a nawet jeszcze dalej... Zaletą i magnesem ściągającym pionierów był brak zwierzchnictwa terytorialnego, kolonizatorzy mieli pełną wolność, mogli zbudować każdy ustrój i wybrać dowolny system stosunków społecznych. To pozwalało odrzucić sztywny gorset systemu panującego w *Geopolis* – planecie-mieście. Zdani byli jednak wyłącznie na siebie...

John chciał odpocząć, przebywał w ciasnym wnętrzu „Stroiciela" trochę za długo. Jak na złość żadna stacja nie widniała w wykazie. To naprawdę były rubieże znanego świata. Starożytne mapy, na których w miejscu Afryki umieszczano napis *Hic sunt leones* („tu żyją lwy") można by było na astrologicznych „mapach" tych stron, na trójwymiarowych holograficznych układach pełnych skomplikowanych symboli i wykresów, spokojnie zastąpić formułką: *Hic sunt Aliens*. Choć żadnych obcych jeszcze nie wykryto. Mimo ekspansji człowiek wciąż pozostawał sam we wszechświecie. Tak naprawdę ludzie nie wiedzieli nic o obszarach rozciągających się poza konstelacją Tarczy. Przerzuty z portów transferowych miały ograniczony zasięg. Dalej trzeba było poruszać się statkami. W pierwszej kolejności za kolonistami podążyli wysłannicy Kościoła. Nieśli Słowo Boże i rozgrzeszenie. Caspar miał pełne prawo twierdzić, że dotarł aż na kraniec znanego ludziom świata.

Włączył detektor sztucznych obiektów. Brak stacji na liście należało potwierdzić przeszukaniem przestrzeni w aktualnym kwadrancie astronomicznym. Czasem znajdywano w ten sposób jakiś mniejszy habitat. Sondowanie przebiegało powoli. Za około dwie godziny John dostanie odczyt. Zostawił program i przysnął w fotelu niczym rybak nad wędką...

Śniło mu się, że jest rzymskim legionistą pełniącym straż pod krzyżem, na którym umiera Chrystus. Płaszcz, srebrzysty hełm, włócznia – a wokół jałowy pejzaż przedmieść i wzgórz Jerozolimy. Z Golgoty widok był dobry: obserwował twarze wszystkich uczestników kaźni, rozpoznawał apostołów, święte i kapłanów. Dobry łotr wiszący po prawicy, przyszły św. Dyzma, wypowiadał swoją przedśmiertną kwestię, dzięki której miał trafić do Raju. Dwaj legioniści stojący obok Caspara zawzięcie dyskutowali:

- Na pewno udaje cierpienie, to magik – umie się znieczulić...

- Załóżmy, że jest Bogiem. Nie byłby głupcem. Przybrałby ciało jedynie dla iluzji...

- Tak czy owak – mag...

Nagłe poruszenie na krzyżu. Zrywa się wiatr, gaśnie słońce. Caspar zasłania oczy. Straszliwie zmasakrowane ciało (tak, ciało!) Zbawiciela schodzi z krzyża, staje przed Johnem i mówi tonem rozkazu:

- Zabij mnie.

Pilot unosi wzrok: na tle drewnianych belek widać świetlisty, eteryczny kształt, który emanuje błogością... Mistyczny krzyż, na którym umęczono duszę? A może dusza wolna jest od cierpień?

- Zabij mnie, który nie jestem mną – powtarza ciało.

John unosi włócznię i nie mogąc oprzeć się poleceniu Mesjasza wraża ostrze w jego serce. Zwłoki znikają, obraz pęka, dalej wszystko toczy się jak w Ewangelii... John ma krew na rękach. Biegnie jak szalony do najbliższego źródła, myje dłonie, lecz posoka nie schodzi. Dopiero, gdy promień słońca pada na wodę, jego ręce stają się czyste. Wtedy refleks słońca na wodzie eksploduje i w formie milionów świetlistych kropel ucieka w czerń kosmosu. Gwiazdy...

Obudził go dźwięk pulsatora. Oddychał ciężko, jak po koszmarze. Bo w istocie przyśnił mu się koszmar. Przeładowany teologią mózg produkował bluźniercze wizje.

Sonda coś znalazła.

Za jednym z księżyców pustynnej planety Carpentera, zlokalizowana po ciemnej stronie satelity figurowała stacja. *Tutaj?!* – John nie mógł uwierzyć, że tak blisko. Urządzenie wykluczało jednak ryzyko błędu.

Wykaz habitatów, jakim dysponował, mógł być nieaktualny. W końcu od wyruszenia w misję upłynęły cztery lata. Lecz żeby przez ten czas powstał tutaj przyczółek kolonizatorów? Zdumiewające i mało prawdopodobne. Osadnicy byli zazwyczaj nastawieni na prymitywne warunki, chcieli budować cywilizację techniczną od podstaw, na nieskażonej naturze, niczym amisze lub kwakrzy. A to wykluczało stały kontakt z obiektami podlegającymi *Geopolis*. Promy wysadzały ich wraz z żywnością i narzędziami. Czasami zostawiali sobie komunikator, zależało to od stopnia radykalizmu danej reguły kolonizacyjnej. Nie była to zatem stacja pomocnicza osadników. Więc jaka? Przemysłowa, energetyczna, militarna, kontemplacyjna, przeładunkowa?...

Nie było sensu zwlekać. Dowie się na miejscu. Skierował „Stroiciela” na obiekt, wysłał autoryzację. Po chwili przyszło potwierdzenie. Nie zawierało żadnej dodatkowej informacji, którą czasami załączają pracownicy hangaru, pozdrowień w rodzaju „Witaj, stary”, „Miłego pobytu” itp. Najprawdopodobniej odpowiedział komputer. *Dobre i to – byle wylądować*.

Caspar okrążył spłaszczony księżyc niezamieszkałej planety... Obraz habitatu wchodził powoli na ekran nawigacyjny... Przez chwilę stacja była dobrze widoczna na tle jasnej strony satelity...

John wstrzymał oddech. Czegoś takiego jeszcze nie widział.

Była to najeżona ostrymi blankami forteca. Niby nic dziwnego zważywszy na fakt, że w kosmosie nie spotyka się opływowych kształtów, gdyż nie obowiązują tu prawa aerodynamiki. Jednak ten habitat był wyjątkowy. Skomplikowanie formalne przywodziło na myśl nowoczesną rzeźbę. Monumentalizm przypominał zębaty gotyk niemieckich katedr i zamków. Jakby stare ruiny zostały uniesione przez trąbę powietrzną i porwane w kosmiczną przestrzeń. Z daleka wszystkie te elementy wyglądały na dzieło przypadku, na zniszczenia dokonane deszczem meteorów lub wejściem w pas planetoid. Dopiero bliższy obraz dawał wrażenie świadomego zamysłu konstruktora. *Dziwne miejsce* – pomyślał Caspar, choć zaraz się uspokoił. Bywał już przecież na nietypowych stacjach. Któraś z nich musiała zostać tą najbardziej niezwykłą.

Platforma otwierała się regulaminowo. Wszystko szło sprawnie. „Stroiciel ciszy" czekał na pozwolenie techniczne. Zbliżony kształtem do barokowego konfesjonału musiał wyglądać trochę jak miniatura stacji. Johna rozbawiła, ale i trochę zaniepokoiła ta analogia. W końcu przyszedł sygnał. Caspar zakodował autopilota na lądowanie. Paszcza spodniej części habitatu opadła, szczerząc się czerwienią lamp na obrzeżach. Konfesjolot wnikał do wnętrza obiektu nie widniejącego w wykazach – instrukcja nakazywała w takich sytuacjach szczególną ostrożność.

Tytanowe ściany i zimny blask niebieskiego światła wypełniły pole widzenia. Niespodziewanie przypomniał się Casparowi rysunek Bruegela zatytułowany „Wielkie ryby pożerają małe"... A gdy klapa pokładu zamknęła się za nim, na ścianie hangaru pilot ujrzał napis. Dziwny napis, choć widniejące słowo nie było mu obce. Początkowo wziął to za przywidzenie, później był już pewien. Zdumiewające – siadł na pokładzie „Kenozy".

Na pokładzie „Kenozy". Dzikus

Konfesjolot wyciszył drgania, John odpiął pas.

To musi być habitat misjonarzy albo jakiejś sekty religijnej. Może adwentystów, może scjentologów? W końcu organizują wyprawy w kosmos. Chyba, że nazwa jest przypadkowa – zdumiewające w kontekście bardzo wąskiego terminu teologicznego... – tak rozmyślał John Caspar celebrując moment, który zdarzał się raz na kilka miesięcy. Moment uwolnienia z ciasnoty konfesjolotu. Największa doczesna nagroda podczas parszywej, choć błogosławionej służby...

Śluza otwierała się z mechanicznym buczeniem, strzelały zaczepy, syczało powietrze. Wreszcie można było chłonąć odgłosy swobody. Wokół przestrzeń hangaru wywołująca jakąś

paradoksalną (bo przyjemną) agorafobię – ściany dalekie, sufit wysoki, aż do zawrotu głowu... Wszędzie zimne błękitne światło, jakby znalazł się na krze zakotwiczonej pod arktycznym niebem.

John nie zdejmował hełmu. Na lądowiskach bywało różnie, czasem ich nie natleniano. Siedział w kombinezonie, czekając na obsługę techniczną. Nikt się nie zjawiał. Z głośników nie płynęły komendy. Czyżby zostawiono go samego sobie?

Pustka i cisza. Słyszał swój oddech, przełykanie śliny, echo uderzeń serca. Musiał czekać.

Powinny przynajmniej podjechać roboty...

Czekał godzinę. Z konieczności, a trochę z nudów (niecierpliwił się coraz bardziej, marzył o spacerze po pokładzie) zbadał halę zewnętrznym detektorem. *Correct, correct* – wyświetlał uspokajająco miniaturowy ekran. Jednak John nie był spokojny. Wyglądało na to, że będzie musiał wyjść, nie czekając na zgodę. Tak też uczynił.

*

Za drzwiami hangaru ciągnął się korytarz. John szedł złowieszczo podświetlonym labiryntem rękawów i przejść, przypominającym wnętrzności gigantycznego mechanizmu. Zielonkawe światło jarzyło się sennie na krawędziach, elektryczny szmer rezonował w słuchawkach. Kroki odbijały się metalicznym echem, jakby ktoś stukał młotkiem w kawałek blachy. Mało sympatyczne miejsce. Zdehumanizowane w każdym znaczeniu, nie dość że zimne i nieludzkie, to jeszcze fizycznie ludzi pozbawione. *Co mogło się tutaj mieścić?* – zachodził w głowę, przechodząc przez coraz bardziej wąskie śluzy. Bywał na wielu stacjach kosmicznych, odwiedzał habitaty przemysłowe i kontemplacyjne, to miejsce nie pasowało jednak do żadnej ze znanych mu kategorii. „Kenoza" była wymarła, wszystko na to wskazywało. Czyżby ludzie, którzy tu mieszkali, zabrali swoje tajemnice do grobu? Czy w ogóle kiedykolwiek tutaj żyli? Nie było pewności, lądowisko i system korytarzy mogły równie dobrze służyć robotom. Ze ścian wystawały detektory, sygnalizatory i czujniki zapewniające sztucznym mechanizmom synchronizację z bazą. Caspar widział podobne rzeczy na innych stacjach. Działało za to pole grawitacyjne, co było poszlaką wskazującą na obecność człowieka. Być może pracowały filtry powietrzne. Idąc w kasku John nie mógł się o tym przekonać; ryzykwać nie chciał. Najwyżej wróci do „Stroiciela" po wkładki dotchawiczne – bioaktywne galaretki umożliwiające oddychanie w środowisku beztlenowym.

Jeżeli pracowali tu ludzie, musieli prowadzić archiwizację. Na pewno znajdzie się zapis historii stacji. Trzeba tylko dotrzeć do systemu...

Caspar stanął przy ostatniej śluzie. Koryarz rozdzielał się jak proca, odnogi prowadziły w nieznane. Obejrzał przejście, uniósł wzrok. Na suficie widniała inskrypcja wypalona laserowym piórem: *Zabij swojego boga, nim on cię zabije*. Caspar zdębiał, czytając to *graffiti*.

Co tu się mogło dziać?

Rozległ się zgrzyt w głębi lewej odnogi. *Ręczne zamykanie włazu?...* To by znaczyło, że ktoś zamieszkiwał stację. John poczuł strach. Ciarki szły mu po plecach, jakby błądził w podziemiach upiornego zamku, gdzie szkielety brzęczą łańcuchami. Poświecił halogenem. Zdawało się, że na krańcu widoczności stoi postać, niewielka i nieruchoma, mogło to być jednak złudzenie.

Po chwili wahania ruszył dalej. Korytarz był długi, ponad pięćdziesiąt kroków, wokół tylko ściany z karbowanych płyt.

Nagle ciszę przyszył wrzask. John zamarł, zasłaniając się odruchowo latarką. Ktoś biegł z naprzeciwka. Caspar zaczął się cofać, kłując niezdarnie ciemność wiązką światła. Biegnący był coraz bliżej. Nagi, wychudzony mężczyzna, brodaty i zarośnięty. *Ki czort?!*

Caspar włącza hełmofon:

- Stóóój!!!...

Jest coraz bliżej.

- Staaać!...

Dzikus wpada z impetem na Caspara – łuuupp!... John leży staranowany... Tamten biegnie dalej – słychać oddalające się kroki. Przy zderzeniu mignęły zalęknione, pałające szaleństwem oczy. Mógł mieć około trzydziestu lat, zarost znacznie go postarzał.

Caspar jest w szoku. Leży z walącym jak młot sercem i liczy sekundy, by zebrać myśli...

Gdy minął psychiczny paraliż – zdjął kask. Dzikus był dowodem, że poziom tlenu umożliwia tu oddychanie. Prócz tego John nie był pewien niczego. Raczej nie odpocznie na pokładzie „Kenozy”. Nazwa stacji i jej brak w rejestrze nie wyczerpywały tajemnic tego miejsca. Radość z lądowania była zdecydowanie przedwczesna.

Z dziennika pilota. Całun

1 dzień na stacji.

Wróciłem do konfesjolotu zaraz po niespodziewanym zderzeniu z intruzem. Bliskie spotkanie trzeciego stopnia. Zabawne – w kosmosie znajdujesz dzikusa... Czy to intruz? Hm... W jego kategoriach intruzem muszę być ja. Dzikus wydaje się dobrze zadomowiony. Trudno orzec, który z nas przestraszył się bardziej – gdy biegł w moją stronę, myślałem, że to atak. Teraz sądzę, że paniczna ucieczka. To był jego korytarz, a ja naruszyłem obce terytorium.

Kim jest? Może którymś z pracowników „Kenozy", który popadł w obłęd? Tylko dlaczego?... Same znaki zapytania. Sądzę, że habitat nie został ujęty w rejestrze z innych przyczyn niż brak aktualizacji w moim wykazie. To miejsce musiało być świadkiem czegoś dziwnego. Konflikt wśród załogi? Choroba? Nagła ewakuacja? Na razie nie mogę pisać zdań oznajmujących. Wszystko musi być zwieńczone pytajnikiem. Skoro już tu dotarłem, czuję się w obowiązku zbadać stację, wyjaśnić zagadkę jej porzucenia. To może być ważny materiał. Później zawiadomię nadzór. Niech Bóg ma nas wszystkich (jego, mnie – kogo jeszcze?) w opiece.

2 dzień na stacji

Nie udało mi się uzyskać łączności z „Kenozą". Wszystkie wyjścia są odcięte od centralnego komputera. Będę musiał znaleźć bezpośredni *input* do głównego archiwum. Zapis historii stacji może wiele wyjaśnić.

Przysługuje mi na mocy układów co najmniej doba odpoczynku. Nie ma jednak nikogo, kto by o tym decydował. Zatem zostaję. Najwyżej dzień lub dwa, powinno wystarczyć do uzyskania odpowiedzi na pytanie: co się tu, na Boga, działo?

Piszę po przerwie. Wydarzył się fakt godny odnotowania. Dzikus próbował podejść na bliską odległość. Widziałem kudłaty łeb wychylający się przez śluzę hangaru, gdy siedziałem w „Stroicielu" dokonując drobnych napraw. Widocznie jest ciekaw, kim jestem. W jakiś sposób skojarzył mi się z Gollumem z „Władcy pierścieni". Gdy uniosłem się w kabinie, zniknął jak spłoszone zwierzę. Słyszałem tylko klaskanie bosych stóp o pokład. Na wszelki wypadek wyszedłem z paralizatorem, lecz nie sądzę, by miał agresywne zamiary. Boi się, może nawet bardziej niż ja. Ale o tym już pisałem...

Znów przerwa, chodziłem po stacji. Chyba znalazłem to, czego szukam. Pięć kabin ułożonych w pierścień, oznakowanych symbolami wskazującymi na laboratoria i zbiory

danych. Jestem zbyt zmęczony, by sprawdzić to dzisiaj. Znużenie i senność dają się we znaki, habitat jest bardzo rozległy. Dzikus podszedł jeszcze bliżej niż poprzednio, gdy krążyłem w okolicy wyglądającej na centrum „Kenozy". Zachowałem spokój, poruszając się wolno, nie wykonując nagłych ruchów. Nawet na chwilę usiadł. Ta bezludna stacja przywodzi mi na myśl wyspę Robinsona Cruzoe. Mam nawet przyszłego Piętaszka, w końcu lądowanie odbyło się w piątek – doprawdy zabawna zbieżność... Jedna rzecz nie jest zabawna w tej analogii: pierwowzór Robinsona, marynarz o nazwisku Selkirk popadł w samotniczy obłęd i doszczętnie zdziczał. Widziałem się w lustrze – może jednak przydałoby mi się golenie? Zarośnięty wyglądam prawie jak tutejszy dzikus... Na szczęcie nie jestem kosmicznym Robinsonem. W każdej chwili mogę stąd odlecieć, a to całkiem zmienia postać rzeczy.

3 dzień na stacji

Dręczą mnie sny. To była zła noc. Jestem nawet bardziej zmęczony niż przed zaśnięciem. Bluźniercze i heretyckie fantasmagorie, niczym na obrazach Boscha lub rozlicznych „Kuszeniach św. Antoniego". Przyśnił mi się dzikus naciągający sobie na twarz całun turyński, biegający za mną po pokładzie. Co najgorsze – wrzeszczał przy tym: *Jestem twoim bogiem, jestem twoim bogiem*. Uciekałem jak tchórz przed prawdą. Płakałem i jednocześnie mu wierzyłem. W końcu rysy z całunu weszły w zarośniętą twarz, zlewając się w jedno z obliczem Zbawiciela... *Horrendum!* Obudziłem się roztrzęsiony...

Mam nadzieję, że nie wariuję. Przypominają mi się książki o wpływie dziwnych miejsc na zdrowie psychiczne. Na szczęście za dnia mój umysł funkcjonuje sprawnie. Wzrok nie łapie omamów, słuch nie chwyta złudnych dźwięków. Wkrótce opuszczam „Kenozę".

Dzisiaj zamierzam poznać tajemnicę stacji.

Kryptonim „Paruzja". Człowiek

Przekaz z hełmofonu.

Ściany zwężają się niczym morski przesmyk. Co ja zresztą gadam, nie czas na porównania... Szerokość korytarza prowadzącego do centrum jest taka, a nie inna, by dwie osoby nie mogły przejść obok siebie. Szczególne względy bezpieczeństwa?...

Jestem przy drzwiach oznaczonych symbolem „P”. Blokada rozkodowana, wchodzę bez trudu. Przedsionek pełen dziwnych symboli: częściowo satanistycznych, częściowo wolnomularskich, stylizowanych na komputerowe liternictwo i grafikę. Kolejne drzwi rozsuwają się z sykiem, fotokomórka znów nie zabezpieczona...

Laboratorium. Na podłodze dwa trupy. Moje podejrzenia sprawdzają się: coś uśmierciło załogę. Są w kombinezonach, to już prawie szkielety... Sprzęt wydaje się bardzo zaawansowany... Słoje i probówki, skomplikowane systemy rurek, kabli i sensorów podłączonych do koprocesora... Tablice z rysunkami zygoty, mejoza, mitoza – cholera wie, co jeszcze. Pośrodku cykl rozwojowy płodu...

W końcu widzę to, czego szukałem. Walcowata rotunda zawierająca serce habitatu. Główne archiwum. Historia stacji. Pośrodku połyskuje zabezpieczony tytanowym pancerzem panel z symbolem wybuchu – chyba wiem, co kryje... Przykładam dłoń do czytnika i bez zdziwienia przyjmuję fakt, że obła ściana unosi się zapraszająco. Widać na całej „Kenozie” siadły kody dostępu. Miejmy nadzieję, że podobnie będzie z czarną skrzynką...

To koniec przekazu. Wchodzę.

*

John skończył się rozglądać. Pomieszczenie przypominało wnętrze kopuły. Ktoś musiał korzystać z archiwum tuż przed śmiercią załogi. Wszystko wyglądało na porzucone w pośpiechu. Może dzikus próbował dobrać się do danych?

Dyski *vitro* były porozmieszczane w czytnikach. Specjalny skład szkła zapewniał trwałość zapisu. Informacja pozostawała martwa dopóki nie nastąpiło laserowe pobudzenie tkanki – preparat ożywał niczym żaba Galwaniego. W holograficznych sześcianach pojawiał się obraz: litery, cyfry, wzory, rysunki, animacje. Technika ta, oparta na zaawansowanej bionice i dopiero co opatentowana wypierała powoli tradycyjne nanodyski, niszczone na Ziemi przez ekspansywny gatunek meksykańskiego grzyba, który zdołał się przystosować do kolejnego nieorganicznego środowiska i porastał powierzchnię nośników, niszcząc zapisane na nich dane. Wiele organizmów, w tym pasożytów i porostów, przystosowało się do sterylnych warunków panujących w *Geopolis*.

Caspar puszcza przeglądarkę. Pojawiają się opisy. Naukowe opracowania z różnych dziedzin wiedzy...

W głębi konsoli mniejszy czytnik; John poznaje to cacko. Stacja do odczytywania dysków nietypowych, produkowanych w unikatowych formatach. Na Ziemi stać na nią najbogatsze koncerny, które chcą zabezpieczyć tajemnicę produkcyjną i handlową. Ktoś musiał zainwestować w „Kenozę" potężne pieniądze. Widać bardzo mu zależało na utajnieniu przechowywanych tu informacji...

Selekcja materiału nie była łatwa. Dużo ogólnych naukowych opracowań. Caspar zasiedział się do późna. Odrzucał stosy skomplikowanych publikacji, głównie z zakresu genomiki prokreacyjnej. W końcu znalazł coś intrygującego. Zabezpieczenia byłyby nie do przejścia, groziły utratą danych, lecz zapis został wcześniej odblokowany. Znowu! Trudno było to wytłumaczyć. Jakby ktoś celowo pragnął ułatwić przybyszowi z zewnątrz zapoznanie się z tajemnicą...

Zamknięty we własnych podejrzeniach – Caspar czytał.

Projekt „Paruzja"[2]

...wtedy też dokonano za pomocą najnowszych technik archeologicznych i archeobiotycznych ostrej selekcji relikwii zaliczonych do zbioru A. Nasi ludzie dotarli również do rzadkich relikwii przechowywanych w prywatnych kolekcjach, z reguły utajnionych. Wstępna faza doprowadziła do samych wykluczeń. Powtórzono próbę, tym razem na zbiorze B. Nie zawierał on już szczątków organicznych, fragmentów ludzkiego ciała, lecz małe kawałki drewna pozostałe z krzyży używanych w północnej Afryce i na Bliskim Wschodzie jako narzędzia wymierzania kary śmierci oraz przyrządy tortur. Ograniczono analizę do tych z I w p.n.e. oraz I w. n.e. Do grupy najwyższego stopnia trafności zaliczono preparaty znalezione przez ekipy archeologiczne pracujące bezpośrednio dla Loży w ciągu dwudziestu lat od podjęcia projektu, działające na terenie Turcji, Palestyny i Syrii. Znaleziono kilkanaście nie odkrytych wcześniej resztek krzyży. Najlepiej zakonserwowany, ze względu na chemiczny skład gleby oraz głębokość warstwy geologicznej okazał się eksponat syryjski. Skrystalizowane warstwy soli w suchym piachu pozwoliły przetrwać resztkom drewna. Kawałek wielkości 0,9/1,3 mm (nieregularna drzazga) był zatopiony w żywicy, która stwardniała, tworząc „torbiel" ochronną. Powstała specyficzna inkluzja, którą poddaliśmy szczegółowej procedurze. Z zachowaniem najwyższej ostrożności zbadano skład znaleziska.

[2] W jednym z głównych znaczeń – powtórne przyjście Chrystusa na świat.

Naświetlono skrawek podczerwienią, promieniami X, następnie delikatnie zdjęto zaschniętą żywicę. Na drewnie zachował się fragment ludzkiego włosa i mikroskopijny ślad krwi...

Caspar przeniósł wzrok na plik dysków należących do zbioru. Czekała go długa lektura. Aktualne opracowanie przypominało osobiste notatki, może szkic raportu z eksperymentu. Wszystko to było niepokojące, rodziło w głowie Johna najdziksze skojarzenia, podsycane w dodatku jego obsesją religijną i latami samotności. *Co takiego chcieli ukryć?...*

Komórka była dobrze zachowana. Zapis DNA nie naruszony. Możliwe stało się rozpoczęcie projektu...

Nagle z boku ekranu otwiera się animowana wstęga z napisem: *Będziemy wozić go jak małpę, ku uciesze gawiedzi, podważając sens ostatnich dwóch tysięcy lat...* Obok prymitywny rysunek klatki z zamkniętym w środku ludzikiem, z aureolą nad głową. John już się domyśla. Wirus! Próbuje komend ratunkowych, lecz jest za późno, by zapisać tekst. Wstążka zwija się w rogu ekranu i jest teraz migającym diabełkiem na lewym pasku. Klawiatura nie reaguje. Dysk *vitro* czysty. *A niech to szlag!...*

John huknął pięścią w obudowę konsoli. Kilka metrów za nim coś się poruszyło. Obrócił się instynktownie. Dzikus stał w przejściu i wyciągał rękę uzbrojoną w pilnik. Można się było przestraszyć nie na żarty. Caspar wstał powoli, na wszelki wypadek, by nie być łatwym celem i oparł się o ścianę boksu. Mężczyzna nic nie mówił. Może był niemową? Ostrze w ręce połyskiwało złowrogo. Caspar otworzył dłoń w geście przyjaźni. Dzikus zaczął iść w stronę konsoli. John wycofał się pod ścianę sali w obawie, że intruz pójdzie za nim. Lecz on zatrzymał się przy stacji odczytu dysków *vitro*. Nagle wydał z siebie straszliwy ryk i zaczął uderzać pilnikiem skomplikowane urządzenia. Pryskało szkło, leciał złuszczony plastik, pękały delikatne czytniki... Był w szale, jakby mścił się na kimś, kto wyrządził mu krzywdę. Niszcząc dyski i sprzęt nie przestawał płakać, bulgotać i wyć niczym zranione zwierzę. Caspar obserwował wszystko oniemiały, czując wyraźnie, że od początku to nie on miał być obiektem ataku, lecz właśnie sprzęt. Trudno było zrozumieć tę nienawiść do rzeczy martwych... Nagle dzikus oderwał się od dzieła zniszczenia i dzierżąc pilnik przeszedł do sali obok. Nie było słychać demolowania. W ciszy, która zapadła rozbrzmiewał tylko stłumiony szloch. Casparowi ścisnęło się serce. Zrobiło mu się żal swego niedoszłego „Piętaszka”. Bez względu na to kim był, strasznie cierpiał.

John zrobił kilka kroków w stronę laboratorium. Już miał wejść do środka, by przemówić do dzikusa, gdy rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Tym razem nie towarzyszył mu wrzask. Demolowanie przebiegało w milczeniu. Caspar wychylił się zza framugi i ujrzał jak probówki, rurki i mikroskopy dzielą los dysków *vitro*, ścieląc się na podłodze dywanem okruchów i oderwanych elementów. Wtem dzikus podniósł wzrok i spojrzał na Caspara. John zadrżał. Podobieństwo było bluźnierczo uderzające. Brakowało tylko korony cierniowej. Chciał śnić, obudzić się z koszmaru, w którym znów przebywał. Lecz to była rzeczywistość. A twarz naprawdę przypominała całun turyński.

Stos ofiarny. Cisza

4 dzień na stacji

Uciekł, gdy do niego przemówiłem. Chciałem podać mu rękę, lecz się przestraszył. Może wziął mnie za członka załogi? Sam wygląda na ofiarę eksperymentów, które musiały odbywać się na statku. Demolując pierścień, mścił się na bezdusznym sprzęcie, który nadał postać jego upokarzającej egzystencji. Habitat był poza zasięgiem prawa, antymanipulacyjne konwencje obowiązywały w kosmosie tylko formalnie. W praktyce nie było kontroli nad tym, co działo się na prywatnych stacjach. Coś jak dawne statki aborcyjne stacjonujące tuż przy granicy wód terytorialnych państw zakazujących zabijania dzieci...

Szukałem aż do zmęczenia. Sześć godzin bezowocnych poszukiwań wzdłuż i wszerz stacji. Zlazłem większość korytarzy, przynajmniej tych ogólnie dostępnych. Dzikus mógł się ukrywać w kanałach i szybach tlenowych. Wołałem, nie odpowiadał. Nawet szmer nie dobiegał z pustych przegubów „Kenozy”.

Znów byłem w centrum stacji. Zastałem prawie doszczętnie zdemolowany pierścień. Sprawdziłem sprzęty, większość nie działała. Zabezpieczony tytanowym pancerzem panel okazał się tym, co podejrzewałem. Program samoniszczący stacji, jaki spotyka się na statkach wojennych. Powinienem stąd odlatywać. Mam swoje obowiązki, a karta pracy w pamięci „Stroiciela” rejestruje wszystkie przerwy. Będę musiał się z nich wytłumaczyć po powrocie, zanim odbiorę żołd. Mój Boże, to jeszcze tylko osiem miesięcy...

Gdy tak szperam w szafkach i gablotach, znajduję coś niezwykłego. Papierowy notes! Unikatowy, ekskluzywny kajet do staroświeckiego zapełniania wiecznopisem. Kartkuję to

rarissimum, wzrok pada na wyraźne drukowane litery. Dobrze, że autor zapisków nie używał starego alfabetu pisanego, co było snobistyczną modą wyższych sfer. Wtedy nie zrozumiałbym połowy znaków.

Wróciłem do „Stroiciela”, by to przeczytać. Teraz siedzę i kończę wystukiwać sprawozdanie. Jeżeli dzikus się nie pojawi do wieczora (człowiek zawsze narzuca nowym miejscom ziemskie pory...), będę musiał go tu zostawić. Oczywiście poinformuję o „Kenozie” nadzór. Będą musieli przylecieć i wszystko wyjaśnić. To już nie moja sprawa. Coś jeszcze? Tak, przy poszukiwaniach natknąłem się na trzy nowe trupy. Kończę zapis i zabieram się do lektury notatnika. Jestem gotów do odlotu.

*

To nie może być prawda, to jakiś kurewski koszmar – myśli John, idąc pijanym krokiem do pierścienia, gdzie miał już nie wracać. Uznał jednak, że musi. Jest zaczadzony wściekłością i zwątpieniem. Czarny notes – tam znalazł wszystko. Wirus nie zdołał uchronić go przed zgubną wiedzą. Rozbite elementy układanki, jaką była „Kenoza” i dzikus, zaczęły nagle pasować. Satanistyczny dziennik wyjaśnił zagadkę – a właściwie zaciemnił, gdyż taka wiedza otacza mrokiem każdego, kto ją posiądzie.

Prawda potrafi ranić, czasami bardzo. John wiedział o tym, lecz zawsze gdy wszystko waliło mu się na głowę – działał. I to od razu. Na przekór sytuacji.

Tak było i tym razem.

Jest już w pierścieniu. Panel samozniszczenia otwiera się na hasło, jedyne hasło, którego szaleńcy nie odbezpieczyli. Jednak Caspar znalazł je w notesie. *Syn Boży* – coż za subtelna złośliwość.

Ta stacja to piekło – myśli John, nastawiając licznik. – *A piekło trzeba wysadzić w powietrze. Albo w próżnię...*

Wraca pośpiesznie do hangaru, by zdążyć. Dzikus, który przestał być dzikusem, musi zginąć razem z „Kenozą”. Może, gdyby się pojawił... Ale nie, tkwi w ukryciu – więc widocznie Bóg tak chce. Pod warunkiem, że Opatrzność ma z tym cokolwiek wspólnego.

Procedura wylotu trwa dwadzieścia minut. Hangar otwiera paszczę i „Stroiciel ciszy” opuszcza „Kenozę”, powracając do królestwa pustki i gwiazd. Wielka ryba wypluwa małą.

*

Znów wszystko rozegra się w ciszy. Próżnia nie przenosi dźwięków. Z oddalającego się konfesjolotu John obserwuje „Kenozę”. Ostatnie chwile stacji. W mózgu, niczym larwy wiją się przeczytane słowa, fragment przemówienia Czarnego Papieża podczas narady Loży Lucyferian: *Sklonujmy Chrystusa, by pokazać światu, że był tylko człowiekiem, a my jesteśmy animatorami jego powtórnego przyjścia. Triumf nauki nad duchem i proroctwami, zdeptanie świętości! Tak, bracia – to będzie nasze zwycięstwo. Zadamy kłam najważniejszemu dogmatowi chrześcijaństwa...* John jest bliski płaczu. Nieprawda! To niczego nie przesądza, nawet jeśli faktycznie odnaleźli komórkę Zbawiciela.

Wszystko burzy się w nim przeciw szokującym faktom. Zostawia na stacji, która zaraz eksploduje, sklonowanego Jezusa – być może popełnia grzech śmiertelny, gdyż uśmierca człowieka, czyni to jednak z wyższej konieczności. Jest natomiast pewien, że nie uśmierca Boga. Szalonym naukowcom z „Kenozy” udało się odtworzyć na wskroś ludzkie ciało Zbawiciela, nic poza tym. Przecież zapis genetyczny nie mógł zawierać boskiej natury Chrystusa! Inżynierowie genetyczni, samozwańczy teogoniści nie umieli powtórzyć cudu – Poczęcia z Ducha Świętego. Z Boga, który stał się człowiekiem – skopiowali najwyżej człowieka. I to pod warunkiem, że eksperyment nie był mistyfikacją.

Tak John Caspar racjonalizuje motywy swego postępowania. Po raz kolejny nastraja ciszę. Ochroni ludzkość przed zgubną wiedzą o eksperymencie. Nie dopuści do powstania wątpliwości i do zachwiania wiary.

Ile to zbawionych dusz?...

Konfesjolot oddala się od stacji, dźwigając ostatni grzech – przewinienie przeciw piątemu przykazaniu. Nie ma w pobliżu konsekrowanego słońca, by spalić w nim winę Johna Caspara.

A on wpatruje się w ekran, czekając na najważniejsze.

„Kenoza” wybucha. Skrawek przestrzeni eksploduje, grzebiąc wspomnienie ludzkiej pychy. Najbardziej bluźniercze wyzwanie rzucone Bogu od czasu Wieży Babel ginie pod własnym ciężarem. I kiedy Caspar myśli, że już po wszystkim, energia wybuchu dociera do konfesjolotu. Straszliwa fala eksplozji szarpie „Stroicielem ciszy”. John uderza o ścianę jak manekin, osuwa się zasypany gradem odłamków. Nie może się ruszyć, pluje krwią. Wyją alarmowe syreny, migają pulsatory. Wkrótce zapada ciemność, stapiając rozerwany wrak statku z melasą czarnej pustki. Wystawiony na pastwę gwiazd – czy to koniec? Próżnia wdziera się do wnętrza statku, sięgając palcami po Johna Caspara...

W przebłysku świadomości pilot pojmuje, że jego śmierć będzie dopełnieniem wydarzeń. Żaden człowiek nie powinien żyć z taką wiedzą. Cisza stanie się doskonała dopiero wtedy, gdy zginie ostatni świadek profanacji.

Jak długo wytrzyma w kombinezonie? Wie jedno: pragnie umrzeć rozgrzeszony. Ostatkiem sił podczołguje się do układu sterów i trzęsącą się ręką (*działaj, tylko działaj...*) programuje kierunek lotu. Na najbliższą gwiazdę, konsekrowane słońce oznaczone symbolem Ω-3. Wystarczy, że wejdzie w warstwę żaru – konfesjolot spłonie doszczętnie, a on uzyska sakrament.

Zraniony statek szarpie się z miejsca i rusza. Hełm Johna paruje od krwi.

Może zdążę...

Gwiazdy gasną – nadchodzi Cisza.

Poznań, 11 X 2002 r.

Wojciech Szyda

Definicje terminów teologicznych w tekście – na podstawie Wielkiej Internetowej Encyklopedii Multimedialnej serwisu Onet.